

na tzw. kryzys kompetencyjny, który musiał rozstrzygnąć Trybunał Konstytucyjny. Rozstrzygając spór Trybunał uznał, że prezydent jako najwyższy przedstawiciel państwa może podjąć decyzję o swoim udziale w konkretnym posiedzeniu Rady Europejskiej, o ile uzna to za celowe. Jednak to Rada Ministrów ustala stanowisko Polski, które na unijnym szczycie przedstawia premier. Ponadto wyrok Trybunału stanowił, iż udział prezydenta w konkretnym posiedzeniu Rady Europejskiej wymaga współdziałania z premierem i właściwym ministrem.

Działania Lecha Kaczyńskiego niejednokrotnie powodowały przy tym irytację rządu, a i często sam prezydent nie szczędził gorzkich słów pod adresem rządowej dyplomacji. Konflikty te w dużym stopniu utrudniały osiąganie celów, obniżały rangę Polski na arenie międzynarodowej i spowodowały znaczące i widoczne obniżenie polskiej kultury politycznej. Bez względu na to kto ponosi za to odpowiedzialność, sytuacja taka stwarza poważne utrudnienie dla prowadzenia skutecznej polityki zagranicznej.

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

WYMARZONY SOJUSZNIK POLSKI

Nowa polska rzeczywistość, kształtująca się po przełomie 1989 r., wkroczyła w świat relacji ze Stanami Zjednoczonymi z niezwykle pozytywnym bagażem. Ameryka tradycyjnie zajmowała w polskiej świadomości zbiorowej szczególne miejsce. Stanowiła mit lepszego, bogatszego i wymarzonego świata. Przez dziesięciolecia kolejne pokolenia górali, chłopów, biedoty, ale też inteligencji i arystokratów wędrowały za Ocean i słały do domu listy z opisem rajy. Ta oaza dobrobytu była jednocześnie ostoją wolności, demokracji, siły i nadziei. Ów mit Ameryki jako kraju modelowych wartości był żywy szczególnie w okresie zimnej wojny i dominował nie tylko w polskiej świadomości, ale i w zbiorowych odniesieniach narodów w różnych krajach komunistycznej Europy. W Polsce jednak był to wzorzec wyjątkowy, wzmacniany poczuciem wspólnych doznań historycznych, kojarzonych z symbolicznymi dla stosunków polsko-amerykańskich postaciami i faktami: Tadeuszem Kościuszką i Kazimierzem Pułaskim, ale też prezydentem Thomasem Woodrow Wilsonem i jego „14 punktami”, w których mowa była o odbudowie niepodległej Polski. Zaś w schyłkowym okresie komunizmu prezydent Ronald Reagan, który miał odwagę nazwać Związek Radziecki „imperium zła”, był w Polsce równie popularny jak Lech Wałęsa. Polacy widzieli wówczas w Waszyngtonie nadzieję na zmiany, jedyną siłę zdolną pokonać Moskwę.

Gdy więc Zachód, a dokładniej Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę, my odzyskaliśmy wolność, a Związek Radziecki legł w gruzach, naturalnym dla nas kierunkiem polityki zagranicznej wydawał się azymut zachodni, zwany też atlantycykiem: bliski sojusz ze Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią (w takiej właśnie kolejności). Ucieleśnieniem tego miało być wstąpienie Polski do *NATO* oraz uzyskanie członkostwa w Unii Europejskiej, co oznaczało niemal całkowite przeprofilowanie polskiej strategii zewnętrznej, w czasach komunistycznych zorientowanej na sojusz ze Związkiem Radzieckim i bliską współpracę z pozostałymi państwami bloku sowieckiego. Nie zapominajmy, że nawet w czasach PRL stosunki polsko-amerykańskie miały wyjątkowy – jak na obóz sowiecki – kształt. Aż trzech prezydentów Stanów Zjednoczonych wizytowało komunistyczną Polskę: Richard Nixon, Gerard Ford i Jimmy Carter. Zaś do Ameryki w 1974 r. pojechał Edward Gierek, I sekretarz PZPR, a w 1985 r. nawet Wojciech Jaruzelski, autor stanu wojennego (wprawdzie tylko do Nowego Jorku na posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych).

W 1989 r., po odrzuceniu radzieckiej dominacji, poczuliśmy się jednak w pełni wolni i suwerenni, niezależni w swoich wyborach i działaniach na arenie międzynarodowej. I wybraliśmy. Paradygmatem naszej „nowej” polityki zagranicznej, zwłaszcza w aspekcie bezpieczeństwa, wyrażanym w kolejnych *exposé* premierów i ministrów spraw zagranicznych III RP, począwszy od ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, a na Radosławie Sikorskim skończywszy, była bliska współpraca ze Stanami Zjednoczonymi. Konsekwentnie przez całe ostatnie dwudziestolecie Warszawa zabiegała o to, aby stworzyć, utrzymać i rozwijać specjalne relacje z Waszyngtonem.

Trudno się zresztą temu dziwić. Oprócz owego mitu amerykańskiego jako punktu wyjścia do kształtowania polityki zagranicznej III RP w odniesieniu do USA, istniała też obiektywna rzeczywistość, skłaniająca do takich działań. Stany Zjednoczone wyszły z zimnej wojny jako niekwestionowany zwycięzca, dysponujący bezprecedensowym potencjałem militarnym, gospodarczym, kulturowym oraz politycznym – kumulującym trzy pierwsze atrybuty. Świat podążał w rytm *Pax Americana* i to Waszyngton miał decydujący wpływ na rozwiązanie głównych problemów oraz sporów okresu pozimnowojennego. Warto zatem było mieć takiego sojusznika i warto było o niego zabiegać.

Wiele nam sprzyjało. Mogliśmy czuć się inicjatorem i liderem przemian w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie będzie przesady w twierdzeniu, że w Stanach Zjednoczonych mit „Solidarności” był stosunkowo żywy i silny. Służyła zresztą temu wizyta Wałęsy za Oceanem w listopadzie 1989 r., a zwłaszcza jego pamiętne, wywołujące entuzjazm amerykańskich polityków wystąpienie w Kongresie – *We, the People...* Mieliśmy zatem pewien „moralny tytuł”, aby nad Potomkiem zabiegać o szczególne traktowanie.

Zresztą i stamtąd słało nam pozytywne gesty. Gdy kanclerz Helmut Kohl na przełomie 1989 i 1990 r. rozgrywał swą batalię o zjednoczenie Niemiec, nie bardzo oglądając się na sąsiadów, rząd Tadeusza Mazowieckiego zyskał poparcie w Waszyngtonie

dla naszych zabiegów o ostateczne, prawne uregulowanie granicy polsko-niemieckiej. Wpisanie przez prezydenta George'a H. W. Busha seniora zapisu o nienaruszalności obecnych granic w Europie do przedstawionych Kohlowi w lutym 1990 r. dezyderatów amerykańskich miało znaczenie kluczowe. Podobnie jak poparcie naszych żądań uczestnictwa w rozmowach „2 + 4” – Amerykanom udało się przełamać opór strony niemieckiej i minister Skubiszewski został zaproszony na tę rundę negocjacji w sprawie zjednoczenia Niemiec, która dotyczyła granic przyszłego państwa niemieckiego.

To Amerykanie przesądziли też na początku lat 90. o korzystnych dla Polski rozstrzygnięciach w sprawie redukcji naszych długów w Klubie Paryskim. Był to zresztą rewanż Waszyngtonu za pomoc polskiego wywiadu w wywiezieniu z Iraku i tym samym uratowaniu agentów *CIA*. Za ten czyn funkcjonariusze polskich służb bezpieczeństwa (do niedawna jeszcze działający w strukturach państwa komunistycznego) zostali odznaczeni amerykańskimi orderami. W ten sposób zawiązywała się współpraca Polski i USA w najbardziej wrażliwych, ale też niewralgicznych z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa płaszczyznach.

Do tego katalogu przykładów nowego otwarcia w stosunkach polsko-amerykańskich trzeba jeszcze dorzucić pomoc i wsparcie Ameryki dla naszych wysiłków na rzecz transformacji gospodarczej, choć nie była to pomoc na taką skalę, jakiej wówczas niektórzy polscy politycy oczekiwali. Lech Wałęsa mówił o potrzebie uruchomienia dla Europy Wschodniej nowego planu Marshalla, skończyło się na znacznie mniejszych funduszach i ograniczonej pomocy w zakresie doradztwa. Nowe otwarcie nastąpiło także w wymianie handlowej, jednak do dzisiaj nasz eksport do Stanów Zjednoczonych jest niewielki w porównaniu z wymianą w ramach Unii Europejskiej (w 2007 r.: do USA eksport o wartości 2 mld dol., do UE – 108 mld dol.; USA nie mieszczą się nawet w pierwszej dziesiątce naszych partnerów handlowych). Tak więc w kategoriach zysku ekonomicznego trudno byłoby mówić o jakichś większych i oszałamiających sukcesach.

Ale ten mało korzystny bilans handlowy czy ekonomiczny nie był w stanie osłabić dominującego po 1989 r. przekonania, że specjalne kontakty z Waszyngtonem są filarem naszej polityki zagranicznej. Nie zmienił tego myślenia nawet fakt, że Stany Zjednoczone przez pewien czas wyraźnie blokowały to, co było jednym z głównych celów naszych działań na arenie międzynarodowej – członkostwo w *NATO*. Dążenie, aby wejść do tego elitarnego klubu, stać się członkiem tej najbardziej skutecznej i najsilniejszej struktury polityczno-wojskowej w świecie, podyktowane było dwoma względami. Przede wszystkim chodziło – rzecz jasna – o ucieczkę ze „szarej strefy” bezpieczeństwa, w jaką wpadliśmy po rozwiązaniu Układu Warszawskiego w 1991 r., o uzyskanie gwarancji ochrony i obrony. Nie mniej ważne było jednak przekonanie, że wchodząc do *NATO* podniesiemy na wyższy jakościowo pułap nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. To przede wszystkim Ameryka jako najsilniejsze państwo członkowskie Paktu stanie się głównym gwarantem naszego bezpieczeństwa.

Tymczasem dwie kolejne administracje amerykańskie, najpierw Busha seniora, ale przede wszystkim Williama J. Clintona nie kwapiły się, aby pozytywnie od-

powiedzieć na zgłaszana przez Polskę, a także inne państwa z Europy Środkowo-Wschodniej wolę przystąpienia do *NATO*. Już wówczas można było postawić pytanie, czy nasza miłość do Ameryki jest odwzajemniona. Jednak istota sprawy nie polegała na kwestii odwzajemnionych lub nie uczuć. Nie leżała więc w sferze emocji i psychologii, ale politycznych interesów supermocarstwa. A te zmuszały Stany Zjednoczone do liczenia się ze stanowiskiem Rosji. To przede wszystkim sprzeciw Moskwy wobec przystąpienia do Sojuszu jej dawnych satelitów, w tym Polski przesądzał o postawie Waszyngtonu. Administracja Billa Clinton, w której ważną rolę odgrywali politycy sympatyzujący z posowiecką Rosją, choćby Strobe Talbott, nie chciała wywoływać złych emocji w państwie rosyjskim, z którym próbowała nawet nawiązać „strategiczne partnerstwo”. Polska przegrywała zatem na pewnym etapie z Moskwą. W kalkulacjach Waszyngtonu bardziej liczyła się Rosja, jej trudny do zbagatelizowania potencjał nuklearny i niemożliwa jeszcze do przewidzenia przyszłość, na którą – jak sądzono – negatywnie może oddziaływać przybliżenie *NATO* do granic państwa rosyjskiego.

Polsce było trudno przełamać opór Stanów Zjednoczonych i – co wydaje się niezwykle symptomatyczne – wtedy w naszych wysiłkach akcesyjnych byliśmy bardziej wspierani przez Niemcy niż przez Amerykę – tego naszego najbardziej wymarzonego sojusznika. Jednak gdy w 1996 r. Ameryka przekroczyła Rubikon (w dużym stopniu w efekcie zmiany nastawienia samego Talbotta, który uległ argumentom polskiego wiceministra spraw zagranicznych Jerzego Koźmińskiego), uznając że w jej interesie leży objęcie strefą bezpieczeństwa i gwarancji sojuszniczych Polskę oraz Czechy i Węgry (powiększone *NATO* to silniejsze związanie Europy z USA, umocnienie ich pozycji w świecie), miało to znaczenie przesądzające o otwarciu Paktu na Wschód. W efekcie Stany Zjednoczone, pomimo wcześniejszego kunktatorstwa, utrwaliły nad Wisłą swój pozytywny wizerunek: Amerykanie otworzyli dla nas drzwi do *NATO*, pomogli zrealizować cel tak ważny dla naszego interesu narodowego.

W sferze dyplomacji i polityki zagranicznej oznaczało to, że Polska poczuwała się do jeszcze większej lojalności wobec sojusznika zza Atlantyku. Wyraz temu daliśmy niemal nazajutrz po wstąpieniu do *NATO* – w marcu 1999 r., gdy bez chwili wahania poparliśmy zainicjowaną przez Waszyngton zbrojną interwencję Sojuszu w Jugosławii. Wówczas racja była po stronie Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników, wszak szło o obronę kosowskich Albańczyków, doświadczających represji ze strony Serbów. Byliśmy dumni, że znaleźliśmy się w jednym obozie z Ameryką, wspólnie interweniujemy w imię praw człowieka (*de facto* nasz udział wyrażał się jedynie w politycznym poparciu). W przeciwieństwie do niektórych innych krajów członkowskich *NATO*, gdzie zbrojna akcja Sojuszu, łamiąca zasadę suwerenności państw i nieposiadająca mandatu ONZ wywoływała ostrą polemikę i społeczne protesty, w Polsce zdecydowana większość społeczeństwa, ale też politycy i eksperci byli zjednoczeni we wspólnym froncie poparcia wojny *NATO* z Jugosławią. Nieliczne głosy krytyki, odzywające się w kręgach postkomunistów raczej wywoływały powszechną irytację niż zmuszały do jakiegokolwiek refleksji.

Pozytywny rezultat wojny o Kosowo, a także potwierdzenie ogromnych możliwości militarnych Stanów Zjednoczonych (ze względu na amerykańską zaawansowaną technologię wojskową, zastosowaną w konflikcie, który nazwano pierwszą wojną XXI w.) tylko utwierdziły w Warszawie przekonanie o słuszności naszej atlantyckiej orientacji i sensowności wysiłków na rzecz budowania specjalnych stosunków z Waszyngtonem. Gdy więc w Europie coraz śmielej dyskutowano o kształtowaniu własnej polityki w zakresie obrony i bezpieczeństwa jako niezbędnym atrybucie Unii Europejskiej, my konsekwentnie opowiadaliśmy się za dominującą rolą *NATO* i nieodzowności utrzymywania silnych więzi transatlantyckich. W odpowiedzi słyszeliśmy głosy, dochodzące zwłaszcza znaną Sekwany, że jesteśmy „koniem trojańskim” Ameryki w Europie. Za taką ekspozycję interesów amerykańskich na naszym kontynencie uchodziliśmy także w Moskwie i ten element coraz silniej oddziaływał na nasze relacje ze wschodnim sąsiadem.

Najciekawszym aspektem sprawy było to, że lojalność wobec Ameryki, dbałość o uzyskanie jak najlepszych notowań w Waszyngtonie, zabiegi o przychylność amerykańskiego sojusznika charakteryzowały wszystkie ekipy rządowe III RP – bez względu na ich rodowód historyczny, orientację polityczną i skład osobowy. Proamerykanizm ekip solidarnościowych wydaje się całkowicie zrozumiałe i niemal naturalne. W jakimś stopniu było to spłacanie długu wdzięczności za wsparcie moralne, ale i pomoc materialną w czasach komunistycznej „smuty”, w pewnym stopniu – bliskość ideowa i polityczna. Natomiast niemalże serwilizm rządów postkomunistów i ich głównego eksponenta – Aleksandra Kwaśniewskiego przez cały okres jego prezydentury wobec Waszyngtonu może zaskakiwać. Ale wytłumaczyć to zjawisko nietrudno. Była to najlepsza droga legitymizowania ich władzy, udowodnienia, że ostatecznie zerwaliśmy z lojalnością wobec Moskwy i teraz staliśmy się nie tylko prawdziwymi demokratami, ale realizatorami żywotnych interesów Polski. A ten interes sprowadzał się do utrzymywania bliskich więzi ze Stanami Zjednoczonymi, bowiem dobre notowania w Białym Domu wydawały się najlepszą gwarancją zyskania sympatii u wyborców. Wprawdzie w walce politycznej ze strony sił populistycznych padały zarzuty, że kiedyś gięto się w hołdach wobec Moskwy, a teraz dyspozycje przychodzą z Waszyngtonu (lub Brukseli), to jednak nie były to argumenty przesądzające o poparciu wyborców. Nie stanowiły też podstawy do głębszej refleksji i publicznej debaty.

W tej – skądinąd zrozumiałej i w pełni uzasadnionej – dbałości o dobre stosunki z Ameryką, przejawianej sympatii dla supermocarstwa zza Atlantyku, przekładającej się na pozytywne uczucia wobec kolejnych prezydentów różniliśmy się od innych społeczności europejskich, zwłaszcza od Niemców i Francuzów. W tych krajach antyamerykanizm od dawna już kształtował postawy zarówno elit, jak i młodych ludzi. Nie prowadził jeszcze do większych rozdzwień w stosunkach na szczeblach rządowych, ale oddziaływał na atmosferę wzajemnych relacji i postrzeganie amerykańskiego supermocarstwa. Polska, gdzie Ameryka nadal biła rekordy jako najbardziej lubiane państwo, stanowiła niemalże wyjątek.

W każdym razie na pewno inaczej niż Europa Zachodnia polscy decydenci polityczni i sami Polacy przyjęli wybór w 2000 r. George'a W. Busha juniora na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dla większości Europejczyków był to "truciiciel z Teksasu" lub „cowboy – ignorant”, Polacy natomiast bez żadnych oporów zaakceptowali nowego, konserwatywnego lidera Ameryki. A gdy podczas swej pierwszej podróży do Europy, w czerwcu 2001 r., prezydent Bush odwiedził także Polskę i wygłosił słynne przemówienie w warszawskiej bibliotece, wplatając w nie słowa polskiego przeboju muzycznego, zyskał sympatię młodych i starszych Polaków, czuliśmy się niemalże wyróżnieni i docenieni. Polscy politycy, bez względu na opcję (rządy sprawowała prawicowa AWS, prezydentem był Kwaśniewski, a Sojusz Lewicy Demokratycznej szykował się do przejścia władzy) starali się o spotkanie z amerykańskim prezydentem. Można było być pewnym, że specjalne relacje ze Stanami Zjednoczonymi pozostaną filarem naszego myślenia o polityce zagranicznej, czynnikiem umacniającym nasze interesy narodowe.

W tej sytuacji oczywistą i naturalną była reakcja Warszawy na to, co stało się 11 września 2001 r. Zresztą wpisaliśmy się wówczas w powszechny, światowy front poparcia, solidarności i współczucia dla Ameryki, zaatakowanej przez al Kaidę. Wszak nawet lewicowy i tradycyjnie antyamerykański „Le Monde” po atakach na Nowy Jork i Waszyngton pisał: „Wszyscy jesteście Amerykanami”, a lewicowy rząd koalicji SPD-Zieloni w Niemczech deklarował „nieograniczoną solidarność” ze Stanami Zjednoczonymi. Polska wraz z pozostałymi państwami członkowskimi *NATO* dokonała bezprecedensowego aktu wprowadzenia w życie art. 5 traktatu waszyngtońskiego („jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”), oznaczającego pełną gotowość współdziałania z Ameryką w walce z al Kaidą.

Jeszcze atak Stanów Zjednoczonych na Afganistan, gdzie ukrywał się Osama bin Laden, przywódca al Kaidy, zyskał dość powszechne poparcie i akceptację społeczności międzynarodowej. Zresztą w sensie formalnym była to akcja całego *NATO* i z mandatem ONZ. Faktycznie jednak przeprowadzona niemalże wyłącznie siłami amerykańskimi, z niewielkim udziałem jednostek brytyjskich i z pomocą – na lądzie – afgańskiego Sojuszu Północnego. Jednak Polska starała się w jakiś wyjątkowy sposób zmanifestować swą solidarność z Ameryką i gotowość uczestnictwa w ogłoszonej przez prezydenta Busha wojnie z terroryzmem. Taki charakter miała zorganizowana przez prezydenta Kwaśniewskiego w październiku 2001 r. specjalna konferencja państw naszego regionu Europy, która – obok sprzeciwu wobec terroryzmu – była głównie spektakularną manifestacją proamerykanizmu.

Kolejny już etap wojny z terroryzmem, realizowany przez administrację Busha okazał się momentem wyjątkowym, bo wywołującym ogromne zamieszanie na arenie międzynarodowej. W tych zawirowaniach znalazła się również Polska, wierny sojusznik Stanów Zjednoczonych. Ogłoszenie tzw. doktryny Busha we wrześniu 2002 r. oraz wyznaczenie przez administrację amerykańską Iraku jako następnego celu w wojnie z terroryzmem wywołało ostrą, niezwykle krytyczną reakcję części sojuszników Ameryki, w tym nawet najbardziej do niedawna lojalnego jej partnera na kontynencie eu-

ropejskim – Niemiec. Brak miejsca, aby rozwozić się nad przyczynami i charakterem tego sporu. Wystarczy podkreślić, że nie akceptowano koncepcji, w myśl której Ameryka przyznaje sobie prawo interweniowania w dowolnym miejscu zgodnie z założeniem: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. Z kolei argumentacja administracji Busha sprowadzała się do tezy, że skala nowych zagrożeń, głównie terroryzm, występowanie tzw. państw bandyckich, wreszcie groźba rozprzestrzeniania broni masowego rażenia wymagają stosowania innych, bardziej skutecznych środków, nawet jeśli łamią one ustalone reguły i są odstępstwem od zasad.

W tym sporze Polska zdecydowanie opowiedziała się po stronie Ameryki i prezydenta Busha. Wprawdzie znaleźliśmy się w jednej grupie m.in. z Wielką Brytanią, Włochami, Hiszpanią i Danią, ale po przeciwnej stronie niż np. Francja, Niemcy, Belgia, także Rosja i zdecydowana większość europejskiej oraz światowej opinii publicznej. W ten sposób skonfliktowaliśmy się z dwoma największymi i najważniejszymi państwami Unii Europejskiej, do której mieliśmy właśnie „na dniach” wstąpić. Tymczasem władze w Warszawie nie tylko odrzuciły oferty firm z Europy i zdecydowały się na zakup amerykańskich samolotów F-16 zamiast europejskich Gripenów (nie znaczy to, że decyzja ta była zła), ale też w lutym 2003 r. stały się sygnatariuszami słynnego listu „ośmiu”, będącego wyrazem poparcia dla prezydenta Busha i jego planów rozprawienia się z reżimem Saddama Husajna.

Nie można jednoznacznie potępić działań ówczesnego lewicowego rządu Leszka Millera (a także prezydenta Kwaśniewskiego), który taką proamerykańską postawę przyjął. Nawet zakładając, że jednym z powodów była owa chęć uwiarygodnienia się polityków SLD, mających komunistyczne korzenie. W jakimś przecież stopniu było to też wynikiem uznania argumentów amerykańskich i wolą walki z tyranem budującym – jak wówczas sądzono – śmiercionośne arsenały. Na te decyzje miało również wpływ pragnienie koniunkturalnego związania się z supermocarstwem, zabieganie o jego względy. W każdym razie efekt był taki, że gdy w marcu 2003 r. Amerykanie uderzyli na Irak, wysłaliśmy tam grupę specjalną, a po zwycięstwie dostaliśmy polską strefę okupacyjną, co wówczas wydawało nam się wielkim wyróżnieniem. Dlatego rząd w Warszawie nie stawiał Amerykanom żadnych warunków i nie zgłaszał pod adresem Waszyngtonu konkretnych oczekiwań.

Wszystkie te kroki nie tylko nie zyskały aprobaty w Berlinie i Paryżu, czyli u naszych przyszłych głównych partnerów w Unii Europejskiej, ale wywołały wręcz irytację, czego symbolem stało się pamiętne skarcenie nas przez Jacques’a Chiraca, prezydenta Francji. W Niemczech zaś popularne było mówienie o Polsce już nie tylko jako o „koniu trojańskim” Ameryki, ale wręcz o „ośle”. Niewątpliwie w postawie Francji, Niemiec, a także innych członków tego konfrontacyjnego wobec Ameryki „frontu odmowy” wiele było kompleksów słabszego partnera, dążenia do zamianowania niezależności i autonomii, podkreślenia rosnącej pozycji integrującej się Europy. Dla Polski jednak oznaczało to, że nagle stosunek do Ameryki stał się wyznacznikiem europejskości. Staliśmy się jakby mniej godni Europy, bo byliśmy zbyt proamerykańscy.

■ Za swą lojalność wobec Stanów Zjednoczonych płaciliśmy więc na gruncie europejskim, zwłaszcza w relacjach z Paryżem i Berlinem gorzką cenę. Tymczasem brakło wymiernych profitów naszego zaangażowania się w Iraku. Na pewno w kategoriach zysku ekonomicznego nie można było mówić o wielkim sukcesie. Wprawdzie Bumar podpisał w Iraku kontrakty na dostawy broni za 400 mln dol., ale sam udział Polski w wojnie irackiej kosztował nas ponad 200 mln dol.; nie odzyskaliśmy też 830 mln dol. irackiego długu. Otrzymujemy od Amerykanów pomoc wojskową, ale jest to około 32 mln dol. rocznie (budżet obrony USA to ponad 500 mld dol.).

W sensie politycznym mogliśmy – co prawda – cieszyć się mianem wiernego i lojalnego sojusznika Ameryki, nawet żywiliśmy złudne nadzieje, że Waszyngton uzna nas za swego strategicznego partnera. Ale zostaliśmy przez amerykańskiego sekretarza obrony Donalda Rumsfelda jedynie zaliczeni do „nowej” proamerykańskiej Europy i przeciwstawieni „starej”, niechętnej Ameryce. Warszawa snuła też plany, że stanie się pomostem na drodze odbudowy dobrych stosunków między Waszyngtonem a Berlinem i Paryżem. Takie ambicje Polski tylko irytowały Niemców i Francuzów. Zresztą znaleźli oni własną drogę do Waszyngtonu, zwłaszcza po zmianie ekipy rządowej w Niemczech i Francji. Kanclerz Angela Merkel okazała się bardziej proamerykańska niż Gerhard Schröder, także Nicolas Sarkozy odszedł od tradycyjnego antyamerykanizmu francuskiej polityki. Poza tym oba te państwa, zwłaszcza Niemcy byli zbyt cennymi dla Waszyngtonu partnerami, aby należało pielegnować urazy. Także ta „stara” Europa wydawała się zmęczona „przeciąganiem liny” i deklarowała wolę naprawiania relacji z Ameryką.

■ Odbudowa układu transatlantyckiego – zauważalna już podczas drugiej kadencji Busha w Białym Domu – powodowała, że Polska wracała do realnej, wynikającej z jej potencjału, rangi i atrybutów pozycji w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Nadal więc uważano nas za lojalnego partnera, ale to nie oznaczało, że zniesiony nam będzie obowiązek wizowy (wszak Polacy, podejmując nielegalnie pracę w USA, naruszali nie tylko amerykańskie przepisy, ale i interesy gospodarcze – *sic!*). Z kolei eksperci i komentatorzy amerykańscy uświadamiali polskim politykom, że będziemy się liczyć w amerykańskich kalkulacjach w zależności od tego, jak dobre stosunki łączyć nas będą z Niemcami, które ponownie stały się ważnym punktem odniesienia dla Waszyngtonu. Bowiem tendencja dzielenia Europy, rozgrywania jednych przeciwko drugim, pogłębiania animozji na kontynencie europejskim zniknęła z dyplomacji amerykańskiej, gdyż przyniosła więcej strat niż pożytku.

■ Zresztą konstatacji faktu, że nawet najpotężniejsze mocarstwo świata nie może samo podołać groźnym wyzwaniom współczesności i musi działać multilateralnie, towarzyszyła chłodna kalkulacja potencjału i wagi europejskich sojuszników. Było to niezwykle ważne w kontekście pogarszającej się sytuacji w Afganistanie, gdzie operowały wojska *NATO*. Waszyngton liczył na zwiększony wysiłek militarny europejskich członków Sojuszu, gdyż bez tego trudno byłoby myśleć o powodzeniu akcji. Tak więc choć polscy żołnierze nadal przebywali w Iraku i to pomimo tego, że kolejne oddziały narodowe stamtąd wycofywano, a w Afganistanie polski kontyn-

gent jako jeden z nielicznych operował bez tzw. nawiasów (warunki, pod jakimi żołnierze danego państwa mogli podejmować działania zbrojne), to jednak nasze wyjątkowe relacje z Ameryką i wymarzony status partnera strategicznego pozostawały jedynie w sferze retoryki. A administracja Busha robiła wiele, aby przede wszystkim pozyskać Niemców, Francuzów – odbudować z nimi bliskie partnerstwo.

Ale właśnie wtedy otworzyła się przed nami realna szansa podniesienia naszych relacji z Ameryką na wyższy poziom. Kwestia zainstalowania w Polsce elementów amerykańskiej tarczy antyrakietowej zrazu wpisywała się w tradycyjny nurt naszych zachowań wobec amerykańskiego supermocarstwa. Jeszcze w okresie rządów SLD wydawało się, że to przede wszystkim Polsce zależy na tym, aby system *NMD* (*National Missile Defense*) znalazł się na jej terytorium. Pomysł wydawał się rzeczywiście atrakcyjny – ulokowanie bazy w Polsce silniej zwiąże z nami Stany Zjednoczone, ponieważ będą one szczególnie dbały o kraj, w którym mają swoje instalacje wojskowe.

Podobny punkt widzenia prezentowała nowa ekipa rządowa, która w 2005 r. przejęła władzę w Polsce. Bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy nie kryli swoich sympatii do Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak poprzednie ekipy zabiegali o względy Białego Domu i trzymali się linii bezkrytycznego sojuszu z USA. Mogło to oznaczać, że bez stawiania warunków przyjmiemy tarczę na swoje terytorium. Wymowne w tym kontekście było potraktowanie nas przez administrację Busha, gdy to do przedstawionej nam w 2006 r. przez stronę amerykańską oferty w sprawie tarczy, dyplomata USA dołączył wzór pozytywnej odpowiedzi.

Jednak właśnie wówczas pojawił się nowy element w naszych wzajemnych stosunkach. Wprowadził go ówczesny minister obrony narodowej Radosław Sikorski, niewątpliwie poirytowany arogancją i lekceważeniem zaprezentowanym przez amerykańską dyplomację, ale też znający lepiej niż ktokolwiek inny przed nim amerykańskie realia i amerykańską „kuchnię” polityczną. Jego punkt widzenia można streścić następująco: przed Polską otworzyła się nowa okazja, gdyż mamy do dyspozycji 300 ha pod budowę bazy w miejscu, które Amerykanom bardzo odpowiada. Należy zatem wyjątkowo twardo negocjować, ze świadomością, że bazy wcale nie musimy mieć. Zwłaszcza że – jak podkreślał Sikorski – obecność elementów tarczy na naszym terytorium naraża kraj na nowe niebezpieczeństwo, gdyż właśnie z tego powodu może się on stać celem ataku.

Opinia Sikorskiego miała swoje szczególne uzasadnienie. Otóż, od pewnego czasu w Polsce dokonywały się wyraźne przetasowania, jeśli chodzi o oceny Stanów Zjednoczonych, administracji Busha, polsko-amerykańskiego sojuszu. Na początku 2007 r. jedynie 38% Polaków pozytywnie oceniało rolę USA w świecie, podczas gdy rok wcześniej aż 62%. Był to bezprecedensowy spadek poparcia dla amerykańskiego supermocarstwa. Tym samym zbliżyliśmy się niebezpiecznie do większości narodów świata, które były krytyczne wobec Ameryki. Co więcej, pomysł zlokalizowania w Polsce elementów tarczy antyrakietowej wywołał u nas debatę, której przedmiotem była już nie tylko sama kwestia przyjęcia amerykańskiej instalacji

wojskowej, ale przede wszystkim zasadność i konsekwencje tak bliskiego wiązania się z Ameryką, zwłaszcza w sytuacji, gdy byliśmy już członkiem Unii Europejskiej i nasze interesy powinny być zlokalizowane przede wszystkim w Europie.

Skala i zaciętość tej dyskusji, która objęła zarówno polityków, elitę intelektualną, specjalistów, jak i zwykłych Polaków, mogły sugerować, że Polska i Polacy coraz mniej potrzebują „wizji odległych rajów”. W nasze życie wkracza przyziemny realizm, który zabija mit Ameryki. Heroizm i poświęcenie, uwielbienie dla *American dream* zastępuje kalkulacja zysków i strat, bardziej krytyczny osąd i bardziej wyważone oceny. Pod uwagę brano nową rzeczywistość, w której Stany Zjednoczone – na skutek m.in. zbyt aroganckiej, ale też nazbyt idealistycznej polityki Busha – traciły na znaczeniu, randze i autorytecie. Ameryka przestała być dla wielu Polaków, podobnie jak dla znacznej części światowej opinii publicznej oraz liderów różnych państw owym atrakcyjnym i pożądanym sojusznikiem. W ostatnich latach zyskała ona zdolność budowania koalicji raczej przeciwko sobie niż wokół siebie. Trudno, aby ta zasadnicza zmiana jakościowa na arenie międzynarodowej nie była dostrzegana również w Polsce.

Radostawem Sikorskim kierowały więc pragmatyczne przesłanki, gdy ostrzegał stronę amerykańską, aby nie lekceważyła polskich obaw i postulatów, gdyż zrazi do siebie całą polską społeczność. Swojej misji przekonywania Waszyngtonu minister Sikorski nie mógł kontynuować w rządzie J. Kaczyńskiego, gdyż na początku 2007 r. zrezygnował z funkcji szefa resortu obrony. Można było teraz przypuszczać, że ekipa Kaczyńskich – pozostając wierna dotychczasowej linii polityki wobec Waszyngtonu, choć niektórym wydawała się ona już anachronizmem – przystanie na tarczę bez dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa. Tym bardziej że prezydent L. Kaczyński, przebywając w lipcu 2007 r. za Oceanem taką deklarację – ku zaskoczeniu wielu – złożył.

Polityczny przełom, jaki dokonał się w Polsce na jesieni 2007 r. i dojście do władzy ekipy Donalda Tuska, otworzyło nowe możliwości przed polską dyplomacją. Jej szefem został tym razem Sikorski. Osobiście premier Tusk nie był przekonany co do słuszności instalowania w Polsce elementów systemu antyrakietowego. Wydaje się, że także bezkrytyczny sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, a przede wszystkim bezwarunkowe przyjęcie tarczy antyrakietowej nie znajdowało się w katalogu najpilniejszych działań jego rządu. Za to już w swoim *exposé* premier Tusk zapowiedział wycofanie polskich wojsk z Iraku na jesieni 2008 r. i tę obietnicę spełnił. Zrobił to zresztą w sposób spokojny i uzgodniony z Amerykanami. Głównym i pierwszorzędnym celem ekipy Tuska na polu dyplomacji musiało być jednak naprawienie tego, co odziedziczyła ona po swoich bezpośrednich poprzednikach: napięte stosunki z Niemcami, konflikt z Rosją, nie najlepsza atmosfera w relacjach z Unią Europejską. To w ogromnym stopniu absorbowowało energię polskiej dyplomacji.

Ale – paradoksalnie – właśnie sprawa tarczy i uzyskania dodatkowych gwarancji oraz korzyści wojskowych dla Polski stała się przyczyną niezwykle dramatycznych momentów, których efektem była m.in. dymisja w lecie 2008 r. wiceministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego, prowadzącego negocjacje ze Stanami Zjed-

noczonymi w sprawie tarczy. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że rząd Platformy Obywatelskiej i PSL dokonał pewnej redefinicji miejsca Polski na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w relacji do Unii Europejskiej i swoich najbliższych sąsiadów, ale też Stanów Zjednoczonych. Podtrzymując rangę i znaczenie bliskich więzi z Waszyngtonem, wykazał jednak większą dbałość o wzajemność, nawet za cenę wywołania irytacji w pałacu prezydenckim, gdzie obowiązywała strategia „tarczy za wszelką cenę” i której bliski wydawał się być zdymisjonowany minister Waszczykowski.

Podpisana w sierpniu 2008 r. Deklaracja w sprawie współpracy strategicznej, towarzysząca porozumieniu o instalowaniu w Polsce elementów tarczy antyrakietowej była potwierdzeniem nowej jakości w stosunkach polsko-amerykańskich. Wprawdzie nic nie zostało jeszcze przesądzone na 100%, gdyż sygnatariuszem po stronie amerykańskiej była odchodząca za kilka miesięcy administracja George’a W. Busha, jednak Polska – przynajmniej na papierze – zyskała „coś za coś”. Między innymi dlatego wzrosło poparcie Polaków dla przyjęcia na nasze terytorium amerykańskiej instalacji. Dla pełni obrazu należy dodać, że działo się to wszystko w napiętej atmosferze wywołanej konfliktem gruzińskim, który spowodował – także w Polsce – wzrost poczucia zagrożenia ze strony Rosji. W tej sytuacji obietnica przysłania do Polski baterii *Patriot* wraz z niewielkim garnizonem wojsk USA, a także zakreślona szerzej współpraca wojskowa i technologiczna wydawały się profitem cennym i znaczącym. Dobrym akcentem na finiszu urzędowania ekipy Busha.

Gdy w styczniu 2009 r. do Białego Domu wprowadził się nowy prezydent Barack Obama, polski minister spraw zagranicznych Radek Sikorski opublikował na łamach „Gazety Wyborczej” (20 I 2009) ważny artykuł. Kreślił w nim zadania, jakie czekają pierwszego czarnego prezydenta Ameryki, formułował polskie oczekiwania wobec nowej administracji odnoszące się m.in. do kwestii realizowania ustaleń zapisanych w sierpniowej Deklaracji o współpracy strategicznej. Nie był to list spolegliwego i na wskroś oddanego sojusznika, ale reprezentanta państwa świadomego interesów i potrzeb nie tylko własnych, ale i w skali globalnej. Szef polskiej dyplomacji pisał: „Z prezydentem Obamą Stany Zjednoczone stoją przed niepowtarzalną szansą na odbudowę potencjału ‘miękkiej siły’ stanowiącej niezbędny składnik niekonfrontacyjnego, globalnego przywództwa USA. Takie przywództwo prowadzone w ścisłej współpracy z partnerami europejskimi dobrze służy interesom wolnego, demokratycznego świata”.

Żaś odnosząc się do stosunków polsko-amerykańskich Sikorski dodawał: „Wierzymy, że współpraca dwustronna Polski z USA w okresie prezydentury Baracka Obamy wejdzie na jakościowo wyższy pułap. Zbudowaliśmy na przestrzeni minionych lat solidne podstawy naszych stosunków (...). Mamy wszelkie podstawy, aby sądzić, że korzystając z tych uzgodnień i w oparciu o dotychczasowe doświadczenia, będziemy mogli (...) rozwijać współpracę z korzyścią dla interesów obu państw”.

Są to oczekiwania, jakie pod adresem administracji Obamy ma polska dyplomacja. Tymczasem 17 września (*sic!*) 2009 r. Polska została oficjalnie poinformowana o zmianie amerykańskich planów – administracja Obamy zrezygnowała z instalowania w naszym kraju bazy pocisków przechwytyjących. Czy Warszawa mogła się

spodziewać takiej decyzji Waszyngtonu w sprawie tarczy? Z pewnością tak. Nowy gospodarz Białego Domu od początku wyrażał swój sceptycyzm wobec tarczy antyrakietowej. Mieliśmy też od pewnego już czasu sygnały wskazujące, że Polska – choć wykazała się nadzwyczajną lojalnością wobec amerykańskiego sojusznika, nawet w sytuacji, gdy inni partnerzy go opuścili – niewiele liczy się w kalkulacjach nowego prezydenta. Zdążył on kilka razy odwiedzić Europę (w tym Niemcy, Rosję, Francję, Wielką Brytanię i Czechy), nie znalazł jednak czasu, aby zawitać do Polski. A podczas uroczystości rocznicowych na Westerplatte 1 września 2009 r. naszego amerykańskiego sojusznika reprezentował gen. James Jones z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Bez odzewu pozostał też list autorstwa zatroskanych o stan relacji z Ameryką znanych postaci i autorytetów z Europy Środkowo-Wschodniej, skierowany do administracji Obamy. W zamian otrzymaliśmy decyzję o zmianie amerykańskich planów wobec tarczy. U jej podstaw leżały – jak powszechnie się uważa – nie tylko argumenty techniczne, ale w dużej mierze wzgląd na interes Rosji i owa słynna już wola Waszyngtonu „resetowania” stosunków z Moskwą.

Niewątpliwie znaleźliśmy się w nowej, trudniejszej sytuacji w odniesieniu do Ameryki. Efektem tych zawirowań będzie z pewnością dalsze rozwiewanie się amerykańskiego mitu w Polsce. Z drugiej wszak strony należy uświadomić sobie jedną prawdę: w relacjach z amerykańskim supermocarstwem nie przeceniajmy naszych realnych atutów i możliwości. Trzeba doprowadzić do „urealnienia” zarówno naszych oczekiwań pod adresem Ameryki, jak i naszego miejsca w amerykańskiej polityce. Nie byliśmy i nie będziemy strategicznym partnerem USA. Biorąc jednak pod uwagę nasze interesy i kalkulując z polskiej perspektywy – musimy starać się utrzymać bliskie stosunki z Waszyngtonem. Mamy obowiązek i prawo twardo negocjować wiedząc, że nie ma co liczyć na wspaniałomyślność i altruizm Stanów Zjednoczonych.. Ale też w przekonaniu, że wykazując lojalność i solidarność w chwilach próby nie możemy być traktowani gorzej niż inni amerykańscy partnerzy i sojusznicy.

MARCELI KOSMAN
Poznań

W CIENIU TRADYCJI, FOBII I NIE ZAWSZE KOMPETENCJI

Na postawione przez redakcję „Przeglądu Zachodniego” pytania mogę zgodnie ze swymi kompetencjami odpowiedzieć wycinkowo, ale z uwzględnieniem dosyć odległej perspektywy czasowej, biorąc pod uwagę mój warsztat badawczy oraz doświadczenia wynikające z wieloletniej pracy ze studentami w ramach przedmiotu Historia dyplomacji. A także z kierowania na Wydziale (do 2008 r. Instytucie) Nauk